

Z KLASYKĄ W ŁÓŻKU

AUGUSTA
DOCHER

Rozdroża

Na motywach *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Brontë

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/zklasy>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-5856-0

Copyright © Augusta Docher 2019

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Spis treści

Tytułem wstępu	5
Prolog	7
Rozdział 1	9
Rozdział 2	27
Rozdział 3	41
Rozdział 4	55
Rozdział 5	79
Rozdział 6	97
Rozdział 7	113
Rozdział 8	131
Rozdział 9	149
Rozdział 10	165
Rozdział 11	185
Rozdział 12	207
Rozdział 13	219
Rozdział 14	237

Rozdział 15	255
Rozdział 16	273
Rozdział 17	291
Rozdział 18	311
Rozdział 19	329
Rozdział 20	349
Epilog	369
Od autora	371
Jak ja to widzę?	373

Tytułem wstępu

Wiecie, co oznacza wyrażenie *guilty pleasure*? To skrywana przyjemność, coś wstydliviego, grzesznego, ale kuszącego tak bardzo, że w końcu poddajemy się temu pragnieniu. Pisanie tej książki było moim *guilty pleasure*. Dlaczego? Bo pozwoliłam sobie na prawdziwą profanację, herezję i bezczelność. Napisać *fanfic* jednej z najpiękniejszych historii o miłości, jakie powstały? Trzeba mieć tupet.

Ale ja naprawdę o tym marzyłam.

Często pytacie mnie, czy mam ulubionego autora, którego dzieła biorę w ciemno, albo prosicie o podanie tytułu mojej najukochańszej książki, tej przeczytanej dziesięć razy, znanej prawie na pamięć. O ile na pierwsze pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć, o tyle na drugie tak: *Dziwne losy Jane Eyre* autorstwa Charlotte Brontë skradła moje serce na zawsze. To wspinała powieść, napisana z nieosiągalnym dla mnie talentem.

Dlatego: #profanacja #herezja #bezczelność...

Przygodę czas zacząć!

Prolog

Moja żona nie żyje. To, że jest martwa, nie ulega wątpliwości. Pogru-chotane o kamienny dziedziniec kończyny leżą nienaturalnie powy-krzywiane, układem przypominają swastykę. Odcinają się czernią od bieli śniegu, który zjawił się nie wiedzieć kiedy i jak. Przecież nie padało, jest wyż, mroźno, pełnia księżyca.

I pomyśleć, że kochałem ją nad życie.

Była dla mnie objawieniem.

Kimś nieosiągalnym.

Nie pojawiła się w moim życiu przypadkowo. Można by rzec, że nasze małżeństwo zostało zaaranżowane — ale kto powiedział, że taki związek jest z góry skazany na porażkę? Od pierwszych chwil czułem, że to ta kobieta. Najlepsza z wszystkich kobiet, najlepsza dla mnie: piękna, inteligentna, jaśniała jak gwiazda. Ja mogłem jedynie lśnić światłem od niej odbitym.

Kiedy sprawy przyjęły zły obrót? Nie potrafię tego stwierdzić. Ten moment nastąpił niepostrzeżenie. Równia pochyła, było coraz gorzej, lecz ja tego nie dostrzegałem. Ciągle w nią zapatrzony, zaślepiony jej niezwykłym blaskiem. Ale zmiany postępują — na tym właśnie polega ich stałość, na zmienności, z dnia na dzień wszystko się zmienia, powoli, konsekwentnie, dyskretnie, prawie niezauważalnie.

Podobnie jak krew, która sączy się z roztrzaskanej czaszki i tworzy wokół głowy ognistoczerwoną aureolę.

Rozdział 1

*Jak wrzосу gałązka, którą w pustym polu
Wiatr dziki wirem unosi...¹*

Jane

Rekruterka to zadbana babka pod pięćdziesiątkę. Czuję suchość w ustach, gdy na nią patrzę, taka jest chuda, matowa i naciągnięta. Ubrana w ciuchy, na które nigdy nie będzie mnie stać, pachnąca czymś, co musiało kosztować milion monet. Ale to nie problem, zauważalny brak kompetencji też nie, w końcu to tylko człowiek, który przyjmuje innego człowieka do pracy. Rzecz w słodczy, wprost nią ocieka. Drażni mnie to.

Kolejny raz zagląda w moje papiery, przelatuje je wzrokiem, pociera nerwowo koniuszek noska, pieczołowicie i precyzyjnie ukształtowanego przez chirurga, i podnosi na mnie sztuczne błękitne spojrzenie.

— Wie pani, panno...

— Eye.

— ...że ta praca wiąże się z wyjazdem, a kontrakt opiewa na rok?

¹ Ch. Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, przeł. T. Świdarska, Świat Książki, Warszawa 2008, s. 142.

— Tak.

— Nie będzie pani miała możliwości przyjazdu do Stanów przez czas trwania kontraktu.

— Wiem, poznałam dokładnie treść oferty.

— A co z rodziną? Ze znajomymi?

— Nie mam rodziny. Znajomych też nie.

Jej zaskoczenie mnie bawi. Kilka razy mruga, chrząka, znowu pokrywa nos, w końcu ciekawość zwycięża.

— Nie ma pani nikogo bliskiego w Nowym Jorku?

Czemu mnie dręczysz, kobieto? Nie, nie mam nikogo. Minęło dziesięć dni od śmierci Helen, wczoraj był pogrzeb. Nie pojechałam do Sandusky, gdzie mieszkają jej rodzice. To oni załatwili pochówek. Zgodnie z wolą córki państwo Burnsowie rozsypali jej prochy nad brzegiem jeziora Erie, a po cichej ceremonii, szczęśliwi, że już po wszystkim, wrócili do domu i stadka kotów rasy maine coon. Nie było żadnego nabożeństwa ani zwyczajowego przyjęcia po pogrzebie, sąsiadek przynoszących zapiekanki z makaronu dla pogrążonej w rozpacz rodziny. W każdym razie ja nie dostałam żadnej, bo i od kogo?

— Mówiłam. Moi rodzice nie żyją, wychowałam się w rodzinie zastępczej. Jestem jedynaczką, a przyjaciółka, z którą mieszkalam, zmarła niedawno na białaczkę.

— Och. — Jest szczerze stropiona.

Tak, proszę pani. Ani pół osoby, ani ćwierć się nie ostała — dopowiadam w myślach. Kiedyś spytałam ciotkę Sarę, czy mam jakichś krewnych ze strony ojca. Stwierdziła, że nic o tym nie wie, a potem mnie przegoniła. No, może Bessie Lee, pomoc domowa w majątku Reedów, jest dla mnie kimś ważnym, ale ona się nie liczy; wyszła za mąż, ma dwójkę dzieci i zaborczego męża, który nie znosi, gdy Bessie poświęca swój czas i uwagę komukolwiek poza nim i ich potomstwem. Jestem sama jak palec, samotność to moje drugie imię, nawet

pierwsze, bo definiuje mnie bardziej niż Jane, ale tego nie powiem, ponieważ to rekrutacja do pracy, nie sesja u psychoanalityka.

— Od dziecka marzyłam o wyjeździe do Europy. Chciałam zwiedzić Stary Kontynent — mówię ze zbędną egzaltacją w głosie. — Marzę o tym, by zobaczyć te wszystkie miejsca, o których czytałam.

To dobra wypowiedź. Rekruterka może przestać myśleć, jak niezręcznie wypadło jej pytanie. Skoro ja bagatelizuję wszystkie nieszczęścia, które mnie spotkały, tym bardziej ona nie musi się rozczulać i okazywać współczucia. Nawiasem mówiąc, kolejny raz stwierdzam, że ten nabór przeprowadziłby lepiej nawet Scott, nasz dozorca, chociaż jest alkoholikiem i jedyne, na czym się zna, to skład drużyny Jetsów i jej poczynania.

— Proszę wybaczyć, ale wolę o tym wspomnieć, o rocznej nieobecności. Nie każdy łatwo znosi tęsknotę wywołaną długą rozłąką. — Nachyla się nad biurkiem.

— Żeby jakkolwiek znosić tęsknotę, trzeba najpierw ją poczuć.

Jeszcze chwila, wstanę, zaraz za drzwiami potargam na strzępki formularz zgłoszenia i pošlę w diabły tę kłiwą babę. Masz mnie przyjąć do pracy! Nie stękać nad moim losem!

— A dlaczego zrezygnowała pani z pracy w... — Spogląda w moje CV.

— Bo chciałam coś zmienić. — Nie czekam, aż znajdzie nazwę prywatnego przedszkola na Manhattanie. — Pracowałam tam ponad dwa lata, a teraz chciałabym zdobyć nowe doświadczenia. Nie miałam na razie okazji sprawdzić się w wychowaniu indywidualnym, ale czuję się na siłach, by podjąć to wyzwanie.

— Jestem pewna, że tak będzie. — Jej uśmiech można butelkować i sprzedawać jako dietetyczny zamiennik syropu klonowego. — Dobrze, panno...

— Eye — podsuwam.

Zamiast rozplýwać się w czułościach, zapamiętałabyś moje nazwisko! — jestem spocona z irytacji. I pomyśleć, że niepokoiłam się tą rozmową. Jak wypadnę? Czy moje kompetencje są odpowiednie i tak dalej, a tu w miejsce rzeczowego headhuntera mam żonę ze Stepford.

— Panno Eye, powiadomimy panią o wynikach rekrutacji.

Alleluja! Wreszcie jakiś konkret.

— Będę czekać.

— Trzymam za panią kciuki.

Litości!

Nie spytałam, kiedy i w jaki sposób dowiem się, czy moja kandydatura została przyjęta. Bardzo możliwe, że z góry założyłam porażkę. Z pewnością byłam najmniej sympatyczną kandydatką na opiekunkę do dziecka, jaka się zgłosiła, ale nie powstrzymuje mnie to przed pakowaniem skromnego dobytku. Tak czy owak, cel jest jasny: wyjechać. Wyjechać jak najdalej, zostawić za sobą całą przeszłość, odciąć się od niej grubą krechą, nawet od tych nielicznych miejsc, rzeczy i osób, z którymi łączyło mnie jakiegokolwiek przywiązanie.

Nie warto.

Nie warto się przywiązywać.

Mija trzeci dzień od rozmowy kwalifikacyjnej. Mieszkanie moje i Helen, bo jej rzeczy też musiałam uprzątnąć, jest już puste. Oddałam to, co nadawało się do użytku, przygotowałam na wyjazd najpierw trzy walizki, potem dwie, na końcu jedną. Wystarczy. Im mniej balastu, tym lżej żyć. Garstka ubrań, nie to, co ulubione, tylko to, co niezbędne, dwie pary butów, kilka książek. Jedyna słabostka? Mały jasiek, z którym zawsze spała Burns. Ciągłe pachnie jej włosami. Dla-

czego życie jest takie... Nie wiem. Trudne? A jednocześnie wciąż czuję w sobie zupełnie niepojętą chęć i siłę, żeby się z nim zmagać, żeby pokazać, że trwam. Trwam ponad wszystko.

Szukam kolejnych ofert, sprawdzam codziennie ogłoszenia, niestety, równie dobra okazja się nie powtarza. Zapada wieczór, kładę się spać bez wielkiego żalu czy rozczarowania. Czyżbym była już tak zgorzkniała i smutna, że porażkę uznaję za coś oczywistego, naturalnego bardziej niż oddychanie? Jakże jestem zaskoczona, kiedy rankiem dostaję wiadomość: „Panno Eye, dzień dobry. Z przyjemnością informuję, że Pani kandydatura została przyjęta. Proszę się zgłosić do mojego biura w czwartek, o godzinie szesnastej. Pozdrowienia”.

Pozwalam sobie na chwilę radości. Trzeba uczcić zwycięstwo, idę do kuchni, wyjmuję z szafki metalową puszkę po solonych orzeszkach. Burns trzymała w niej ciasteczka. To była jej słabostka: cynamonowe ciasteczka, twarde i brzydkie. Zjadam ostatnie ciastko, a puszkę wkładam z powrotem do szafki. Zero waste — nie śmieć. Tak zawsze mówiła Helen. Nie, wtedy zmieniała się w Burns. Gdy miała do powiedzenia coś ważnego, oświadczała: „Ja, Burns, ci to mówię”. Dobrze więc, nie będę śmieć, zamierzam kontynuować jej bezsensowne dzieło ochrony natury przed odpadkami. Boże, jakież to jest głupie! Co jak co, ale Amerykanie to najgorsze świntuchy, jakich nosi na grzbiecie matka ziemia. A kimże ja jestem? Jednostką w oceanie świntuchów.

Dobrze, że jako ludzie mamy niezbywalne prawo do popełniania głupstw.

Edward

Gdyby Celina Varens nie była dziwką, mógłbym ją uznać za ideał kobiety — inteligentna, rzeczowa, konkretna, błyskotliwa i z poczuciem humoru, a przy tym wyjątkowo piękna, niekierująca się ślepo modą, niezbyt chuda, raczej kształtna, z wyczuwalną warstewką tłuszczu pod gładką skórą. O tak, Celina spełnia wszelkie moje osobiste kryteria, bym mógł uważać ją za skończoną piękność i chodzący ideał. Mówię jej to, a ona wybucha śmiechem, szczerym, prawdziwym jak jej naturalne blond włosy i biust (nie mam pojęcia, jaki rozmiar mają piersi Celiny, ale są perfekcyjne i mieszczą się idealnie w moich dłoniach).

— Masz pomysły, ja idealna? — Zsuwa się z mojej klatki piersiowej i siada po turecku. Widzę jej słodką jasnorożową cipkę i czuję, że za chwilę znowu się w niej znajdę. — Daleko mi do ideału, drogi hrabio. — Chichocze.

Uwielbia żartować z mojego pochodzenia, nadużywa tytułów i posługuje się nimi zupełnie bez sensu. Nigdy nie miałem hrabiowskiego tytułu, moi przodkowie też.

— W mojej ocenie jesteś perfekcyjna. Byłabyś doskonałą żoną — drocę się z nią.

— Jestem dziwką, nie żoną.

— Dziwki też mogą wychodzić za mąż — zauważam.

— Nie umiem gotować.

— Ale lubisz.

— Nie wychodzi mi! Pamiętasz brownie bez mąki? — Potrząsa głową.

Jak mógłbym zapomnieć tę bulgoczącą papkę, którą kiedyś wyjęła z piekarnika. Chciała upiec domowe ciasto, sprawić mi przyjemność

— i zasadniczo ją sprawiła, bo ostatecznie czekoladowa masa wylądowała na jej brzuchu i cipce, a ja zlizywałem słodkości przez godzinę.

— Lubię twoje brownie. — Kilka razy mlaszczę ze smakiem. — Mogłabyś znów je przyrządzić.

— Nienawidzę sprzątać i dekorować domu — wymienia kolejny argument.

— Można wynająć służbę, to błahostka. Zapłacisz komu trzeba, będzie pucował chałupę i dmuchał na domowe ognisko za ciebie.

— Nie lubię dzieci. To przeszkoda nie do pokonania.

— A kto powiedział, że ja lubię dzieci? — Wybucham śmiechem.

— Przestań! — Wymierza mi kuksańca w brzuch. — Masz dziecko i nie mów więcej takich rzeczy.

— Masz rację, nie mówmy o tym — zamykam temat.

Co jak co, ale sypialnia w prywatnym apartamencie dziwki, nawet tak luksusowej, jaką jest Celina, to nie miejsce na dyskusje o dzieciach, mimo to gospodyni draży temat i wypytuje o Kate, opiekunkę mojej córki. Niepotrzebnie zwierzyłem się ostatnio Celinie z problemów z młodą, urodziwą studentką medycyny, która wzięła roczny urlop i zatrudniła się u mnie. Nie ma nic złego w studentkach medycyny, przeciwnie, są inteligentne i kompetentne, szkoda, że akurat Kate cechował nadmierny romantyzm. Bardzo szybko uznała, że kilka szybkich numerków, które zaliczyliśmy w ogrodzie, w mojej garderobie, w moim gabinecie, w samochodzie i w paru innych miejscach, uprawnia ją do snucia planów długiego i wspólnego życia. Zakochała się na śmierć albo we mnie, albo (co raczej bardziej prawdopodobne) w moim majątku. A gdy jeszcze pomyślę o starciu w mojej sypialni pomiędzy nią a Blanką Ingram... Cóż, było ostro, ale nie tak, jak bym tego oczekiwał. Dlatego właśnie musiałem ją odprawić.

— Katherine? — Podkładałam rękę pod głowę. — Nie mam pojęcia, co u niej. Już nie pracuje w Thornfield.

— Zwolniłeś ją?! — W głosie Celiny wybrzmiewa udawane oburzenie. — Jesteś okropny, baronie, podły i bez serca. Szowinistyczna świnią. Najpierw uwiodłeś dziewczynę, a jak się zakochała, zwolniłeś.

— Wypraszam sobie. Tego barona. — Puszczam jej oko. — I nie zwolniłem, sama wypowiedziała umowę.

— Uważaj, bo ci uwierzę. — Celina wydyma słodkie usta.

— Czy to ważne? Odeszła i już, problem z głowy.

— Wstręciuch bez serca. A Adelka? Na pewno tęskni.

— Moja córka od początku nie przepadała za Kate, zresztą już zatrudniłem nową nianię. Żeby mnie nie kusilo, wybrałem brzydulę. Urodą nie grzeszy, ale jest kompetentna i ma świetne referencje.

— Jesteś okropny.

— Raczej szczerzy. Ty też, dlatego cię lubię. Chodź tu. — Kiwam na nią palcem. Dość gadania. Mam ochotę na seks z ideałem. — No już, pogalopuj na koniu barona. — Popędzam ją, bo się ociąga i zamiast wskoczyć na mnie, siedzi, uśmiecha się przekornie i nawija kosmyk włosów na palec. Dobrze wie, że nieziemsko mnie kręci, gdy stroi minki niegrzecznej uczennicy. — Celino Varens, jeśli natychmiast nie wskoczysz na mojego fiuta, dostaniesz lanie, zobaczysz! — Siadam, żeby ją schwytać za rękę, ale nie dają rady.

Celina z piskiem umyka z sypialni, gonię ją po wielkim apartamencie, biegamy wokół kuchennej wyspy i dopiero drobny wypadek — Celinie odjeżdża noga przy kolejnym okrążeniu — sprawia, że udaje mi się ją dorwać. Przerzucam kochanicę przez ramię i niosę do sypialni, po drodze wymierzam kilka soczystych klapsów.

Lubi to, ja też. Mówiłem już, że ta kobieta to ideał?

Jane

Lot okazał się koszmarem. Spędziłam całą podróż w słuchawkach, do tej pory bolą mnie uszy. Ledwie je zdejmowałam, a zażywny grubasek, którego los usadził po mojej prawej stronie, zaczynał ankietę. Gdzie pani leci? Na długo? W jakim celu? Smaczny ten lunch, prawda? Lubi pani Steinbecka? Wolę załogę w czerwonych uniformach, te ciemnozielone są zbyt smutne, jak pani myśli?

Przypuszczam, że mój towarzysz boi się latać i słowotokiem knebluje swój strach. Niestety, panie Gadatliwy, to nie działa. Nie da się zagadać strachu, podobnie jak smutku, bólu i innych nieprzyjemnych uczuć. Nie da się zawrzęszyć cierpienia. Ono zawsze ma pierwszy głos i cichnie dopiero wtedy, kiedy samo zechce.

Nocuję w miejscowości Lowton. Mają tu całkiem przyzwoity hotel o nazwie Pod Królem Jerzym; pokój wygodny, a śniadanie za bogate — zostawiam połowę, zwłaszcza fasolę traktuję jak najgorsze zło. Jest paskudna. Godzinę później przyjeżdża po mnie samochód. Puszczam w eter modły do wszystkich bóstw, żeby kierowca nie okazał się równie uciążliwą gadułą jak koleś z samolotu. Na szczęście ten mężczyzna, na oko pod pięćdziesiątkę, zachowuje się normalnie. Każde zdanie jest wyważone i potrzebne, zbędnych pytań brak. John, bo tak się przedstawił, nosi służbowy mundur, całkiem przyjemny dla oka, chociaż jak dla mnie białe lampasy na nogawkach jego spodni są zbyt ostentacyjne. Czuję się jak ktoś z rodziny królewskiej, gdy John otwiera przede mną drzwi czarnej, lśniącej limuzyny dłonią w białej rękawiczce.

Ho, ho! Awansowałaś, Jane!

— Pierwszy raz na Wyspach? — zagaduje po kwadransie mój kierowca.

Na marginesie: chyba ktoś narzucił mu ten oficjalny strój, bo bardzo szybko pozbywa się rękawiczek, wciska je do schowka w drzwiach i z ulgą kładzie nieosłonięte dłonie na kierownicy.

— Tak.

Zapada cisza. Jedziemy. Rozglądam się, ale widok za oknem nie porywa. Głównie pustki, jakieś pola, skrawki lasu, czasami mignie mały dom otoczony równie niewielkim ogródkiem. Nudna ta Anglia. Podoba mi się. Czuję, że ten rok będzie dla mnie dobry, wtopię się w tło jak mijane co rusz łagodne pagórki.

— Lubi pani dzieci?

A to mnie zastrześlił. Zaskoczenie tym większe, że oczekiwałam tego pytania, ale nie od kierowcy. Nie on powinien mnie o to spytać, a szanowna rekruterka, gdy rozpatrywała moją kandydaturę na opiekunkę do dziecka. Co teraz? Co mam odpowiedzieć temu miłemu człowiekowi? Bo jest miły. Takie rzeczy czuje się od razu. Widać, że nie lubi wściubiać nosa w cudze sprawy, natomiast gdy coś mu się powie, jest ostatni, by oceniać. Skąd to wiem? Intuicja.

— Szczerze? Nie wiem, czy lubię dzieci. Nie mam własnych.

— Alicja wspominała.

Też mi komentarz! Czyżby w ogóle nie obchodziła go właściwa treść odpowiedzi? Po co pytał? Żeby cokolwiek powiedzieć? Zresztą jakie to ma znaczenie?

— Kto to Alicja?

— Nasza ochmistrzyni, szefowa personelu, prywatnie dalsza krewna sir Edwarda. Jej mąż był pastorem w Hay, małej wiosce niedaleko Thornfield, niestety zmarł. On i matka sir Edwarda, z domu Fairfax, byli kuzynami — wprowadza mnie w zawilości rodzinnych koligacji, ale nie to mnie interesuje, a coś innego.

— Sir Edward?

— Tak. Nasz pan należy do arystokracji.

Szok. Arystokracja? Jak to dziwnie brzmi. Nie sądziłam, że będzie mi dane poznać kogoś z tej sfery, chociaż doskonale wiem, że w Anglii jest arystokracja. Jest królowa, są księżęta, trzy razy oglądałam relację ze ślubu Kate i Williama, bo Helen mnie męczyła. Uwielbiała rodzinę królewską, często stękała, że powinna była urodzić się w takiej, a potem dodawała naprędce, że to ja bardziej nadawałabym się na królową, bo jestem dumna, wyniosła i opanowana. Ja wyniosła? Prędzej nudna i drętwa. Nie mam natury słodkiej idiotki, nie szczebioczę, rzadko odzywam się niepytana, wolę milczeć niż paplać bez potrzeby i ktoś, kto mnie nie zna, faktycznie może to odebrać jako wyniosłość, ale to nieprawda.

Swoją drogą Kate jest dla mnie wzorem absolutnego piękna. To najpiękniejsza kobieta, jaką widziałam. Idealna na co dzień, idealna zawsze, nawet w czasie rozlicznych ciąż i zaraz po urodzeniu idealnych królewskich potomków. Zdaję sobie sprawę, że gdzieś, kilkaset mil stąd, stoi królewski pałac, ale w najśmielszych snach nie myślałam, że mój pracodawca należy do tych kręgów. Kupię podręcznik do etykiety dworskiej i będę zakuwać. Nie mogę zawieść mojej Helen, pewnie często spogląda na mnie z nieba.

— Czyli nie lubi pani dzieci — odzywa się po chwili John.

A jednak! Dotarło.

— Tego nie powiedziałam.

— Panienska Adele jest dziwnym dzieckiem.

— Ja też jestem dziwna. — Nie wiem, czemu to mówię. Niestety, już za późno, by cofnąć słowa. Oby John nie poczuł się sprowokowany do pytań.

— Będziecie do siebie pasować. — Słyszę ciche parsknięcie pod nosem. — Już prawie jesteśmy na miejscu — oświadcza, gdy skręcamy z głównej w nieco węższą drogę. — To teren przynależny

do rezydencji. Proszę zwrócić uwagę na sztukę, z jakim wykonano bramę. Jest bardzo stara, liczy sobie tyle lat co majątek.

Na tym koniec wykładu historycznego. Jeśli będę zainteresowana, Alicja z chęcią opowie mi więcej o rezydencji. Nie wykluczam takiej pogadanki, bo dwór robi na mnie imponujące wrażenie. Wsiadam z samochodu, zadzieram głowę i tracę dech w piersiach, bo nigdy nie widziałam na żywo równie wspaniałego budynku. Bez wątpienia to stara budowla, szarobura elewacja wygląda na dosyć brudną, tu i ówdzie odpadł tynk, odsłaniając cegłę, ale to tylko dodaje uroku budowli. A okna? Są niesamowite, wielkie, wysokie, z gęstą siatką szprosów.

— Oblęd — mamrocę do siebie.

To niewyobrażalne, że będę tu mieszkać przez następne dwanaście miesięcy. Ciekawe, gdzie wyznaczono mi miejsce. Które z okien będzie oknem mojej sypialni? W którym skrzydle zamieszkać? W lewym czy prawym? A może od frontu? Ten dom ma z pewnością absurdalnie wielką powierzchnię i pomieściłby dwadzieścia amerykańskich rodzin. A schody? Po co takie szerokie schody? Rozpościerają się niemalże na całej szerokości frontu budynku. Och, urządzić na nich pokaz mody to byłoby coś!

Krew szybciej krąży w żyłach, gdy stoję tu i podziwiam majestat budowli, geniusz kogoś, kto zaprojektował każdy detal: ozdobne fryzy nad oknami, kamienne donice, płaskorzeźby na trójkątym tympanonie. To naprawdę przepiękny budynek. Aż brakuje tchu, kiedy się na niego patrzy.

— Zaniosę bagaże. — John sprowadza mnie na ziemię.

Wchodzimy do środka. Nie mam okazji się rozejrzeć, bo od razu podchodzi do nas jakaś dziewczyna (chcielibyście widzieć jej strój, wygląda jak żywcem przeniesiona z planu filmowego) i prowadzi do pani Alicji Fairfax, która już na mnie czeka w końcu korytarza. Podaje

mi rękę i przedstawia się, ja robię to samo, zastanawiając się, czy wypada mi mówić do niej po imieniu. Nie powiedziała, ile ma lat, ale na oko dałabym jej ciut więcej niż Johnowi. Moje wątpliwości zostają błyskawicznie rozwiane.

— Mów mi Alicja, kochanie.

Ochmistrzyni Thornfield urządzuje w zacisznym, małym pokoju. Siada w staroświeckim fotelu, obitym zielonym pluszem, ja zajmuję miejsce po przeciwnej stronie. Naprawdę jestem urzeczona tym miejscem, umeblowaniem, wyposażeniem, niewielkim okrągłym stolikiem kawowym z przepiękną inkrustacją, wszystkim, co nas otacza.

— Nie mogliśmy się doczekać — mówi. — Może herbaty? — Wskazuje brodą na imbryk.

— Za chwilę.

— Dziękuję, Leo — zwraca się do dziewczyny, która mnie tutaj przywiodła.

Lea — zapamiętać! Odprowadzam ją wzrokiem. To chyba pokojówka. Ale szal. Serio, czuję się jak w filmie kostiumowym: angielski dwór, a w nim pokojówki, ochmistrzyni, filizanki z porcelany i popołudniowa herbatka. Czemu nie mogę zadzwonić do Helen i opowiedzieć jej, co mnie spotkało? Straszna szkoda.

— Pięknie tutaj — komplementuję wewnątrz.

— O tak, to wyjątkowo uroczy pokoik. Ulubiony pokój lady Rochester — odpowiada na to Alicja. — Matki sir Edwarda — dodaje wyjaśniająco. — Niestety, rodzice Edwarda już dawno odeszli z tego świata, podobnie jak jego starszy brat Rowland, który zmarł dziewięć lat temu. Mój pan został sam jak palec.

— A dziecko? — pytam bez namysłu.

Jak można pominąć jego własne dziecko? Przecież Edward Rochester ma córkę.

— No tak, dziecko. — Alicja okrasza swoją twarz uprzejmym uśmiechem. — Adelka jest tutaj dosyć krótko. Kilka lat.

Przez kilka lat nie zdążyła zapamiętać, że mieszka tu dzieciak? Że sir Edward ma kogoś najbliższego na świecie? Własne dziecko? — dziwię się w myślach. Jestem pewna, że jeszcze nieraz poczuję niesmak i brak zrozumienia, jakie dotyczą mnie w tej chwili.

— Kiedy ją poznam?

— Adelkę? Jutro. Dzisiaj powinnaś odpocząć, droga Jane. Chciałam powiedzieć, że bardzo się cieszę twoją obecnością. Mam nadzieję, że się polubicie z Adelką. Sama też jestem szczęśliwa, bo przybyłaś do nas z innego świata i z pewnością przybliżysz nam, jak to jest żyć i mieszkać w Ameryce. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, pragnęłam zwiedzić Stany. — Na jej twarzy nadal tkwi uśmiech. Jest jak przyklejony. — Niestety, już za późno.

— Dlaczego? — Już mam dopowiedzieć, że w obecnych czasach podróżowanie jest łatwe, szybkie i stosunkowo tanie, ale Alicja szybko odpowiada.

— Odkąd owdowiałam, mam ciągle problemy z sercem i ciśnieniem.

— Ach, to faktycznie problem. Zwłaszcza w samolotach.

Na czczej pogawędce spędzamy prawie godzinę. Nie dowiaduję się niczego o mojej podopiecznej, o obowiązkach i oczekiwaniach tym bardziej. Jedyne konkretne pytanie, czy przeczytałam dokładnie umowę o współpracę. Pewnie, że tak. Przeczytałam, i to trzy razy, wielgaśny elaborat przygotowany w jakiejś londyńskiej kancelarii prawnej. To chyba najdłuższy kontrakt o pracę, jaki można wymyślić, pełen zakazów i nakazów, naszpikowany klauzulami, a jedna durniejsza od drugiej.

— Zaprowadzę cię do twojej sypialni — mówi Alicja.

Oddycham z ulgą. Ileż można bajdurzyć o bzdurach? Nie powiem, miła ta kobieta, sympatyczna, pogodna i uprzejma, ale o przyjaźni z nią raczej nie myślę. Nie moja bajka. Jest zbyt powierzchowna i sztuczna. Nie przestaje mówić, gdy prowadzi mnie przez główny hol.

— Kazałam przygotować dla ciebie pokój w pobliżu apartamentów Adelki. Wprawdzie nie jest tak duży i reprezentacyjny jak niektóre gościnne sypialnie, ale jego okna wychodzą na główny podjazd, a co za tym idzie — na reprezentacyjny frontowy ogród. Jest bardzo słoneczny i przytulny, sama zobaczysz.

Zanim do niego dotrzemy, przekonuję się o czymś zupełnie innym. Wnętrza domu przypominają mi raczej kościół niż miejsce do życia. Dębowe schody i poręcze przerażają masywnością, podobnie wielkie wysokie okna z gotyckimi kratami. A gdy zadrzeć głowę, zamiast normalnego sufitu można zobaczyć sklepienie jak w bazylice. Aż się zimno robi, gdy człowiek przemierza długą i szeroką galerię, na którą wychodzą niezliczone drzwi sypialń i apartamentów.

— Rzeczywiście, miły pokój — oznajmiam zaraz po wejściu.

— Jak wspomniałam, jest niewielki, ale wygodny i urządzony dosyć nowocześnie.

Niewielki? Kobieto, nie widziałas niewielkiego pokoju. Gdy przypomnę sobie nasze klitki w nowojorskim mieszkanku, szacuję, że to pomieszczenie pomieściłoby ich pięć.

— Jak na moje standardy jest gigantyczny — mówię, przechadzając się po swoim nowym miejscu do życia.

— Jest klimatyzacja z nawiewem ciepłym i zimnym. Niestety, kominiek nie działa, pełni funkcję dekoracyjną. Tu drzwi do łazienki, natomiast te są do garderoby. Takiej młodej panie przyda się garderoba.

— Nie mam pojęcia, czy się przyda. Nigdy nie miałam garderoby. Zresztą po co mi tyle miejsca? — Pokazuję Alicji moją walizkę.

Zmieściłaby się cała do jednej szuflady wielkiej komody stojącej między oknami.

— Może to się wkrótce zmieni. Twoja poprzedniczka... — Nagle milknie, jakby pojęła, że zapędziła się za daleko. — Osoba, która pracowała tu przed tobą, miała sporo ubrań.

Z trudem powstrzymuję śmiech. Stwierdzam, że Alicja jest sztywna jak nie przymierzając mrożone burgery w barze Sedricka. Ale niech jej będzie, może ma taki styl. Bez obaw, szanowna pani, nie należę do szczególnie wścibskich osób, nie będę dopytywać o moją poprzedniczkę i jej miłość do ciuchów. O inne sprawy też. Pilnuję własnych, wystarczy — myślę z rozbawieniem.

Zostawia mnie samą, żebym mogła się odświeżyć. Przychodzi po godzinie (za szybko, bo uwierzcie, ale łazienkę mam totalnie bajeczną, chętnie spędziłabym w niej całe popołudnie) i wręcza kilkunastu stronicową broszurkę z planem dworu i otoczenia. Czegóż tu nie ma. Jest palmiarnia, wozownia, stajnie (kilka!), garaże, w ogrodzie wszelkie typy podogrodów, różany, francuski, magnoliowy, japoński i jeszcze kilka innych, faktycznie można się zgubić.

— Oprowadzę cię kiedyś po całym domu, ale dzisiaj nie ma na to czasu. Pokażę ci, gdzie jest kuchnia, pralnia i inne pomieszczenia, z których będziesz korzystać.

Mogła ostrzec, że przydadzą się wygodne buty. Łazimy prawie godzinę, zatrzymujemy się co chwilę, bo Alicja przedstawia mnie służbie. Fu... Okropne słowo, a ona namiętnie go używa — lub raczej nadużywa. Mamy więc służbę w postaci Johna, kierowcy, zaopatrzeniowca, konserwatora i człowieka od męskich spraw, jest jego żona Fae, kucharka, jest Lea, pokojówka, Sophie, pomocnica Alicji, pełniąca również dorywczo funkcję niani Adelki, William, czyli ogrodnik, Gracja Poole, archiwistka, oraz Bertha, jej asystentka, ale tych dwóch

pań nie muszę poznawać, za to wiem, gdzie urzędują, bo tam nie wolno mi wchodzić.

— Chciałabym cię uczulić, że prawe skrzydło Thornfield Hall jest w remoncie — mówi Alicja, gdy podchodzimy pod wielkie dwuskrzydłowe wrota na końcu głównego holu na parterze. — Bardzo proszę, żebyś tu nigdy nie wchodziła, a już pod żadnym pozorem nie zbliżaj się tutaj z Adelką. Chodzi o wasze bezpieczeństwo. W tym skrzydle mieliśmy poważną awarię sieci elektrycznej i obecnie wszystkie piętra są nieczynne, a każde drzwi, prócz tych, zamknięte na stałe.

— Nie korzystacie z tych pokoi? — Zaglądam jej przez ramię, ale nic nie widzę, bo drzwi ozdobiono skomplikowanym witrażem z drobnych kolorowych szybek, które są całkowicie nieprzezroczyste.

— Korzystamy tylko z tych na parterze oraz na przedostatnim piętrze. Jest tutaj kilka magazynów, ale przede wszystkim część archiwum i prywatne pomieszczenia mieszkalne archiwistki. Gracja nie zawsze tutaj przebywa, czasami pracuje razem z Berthą w Ferndean Manor, w drugim dworku sir Edwarda, bo tam jest archiwum główne. Przechowujemy w nim dokumenty rodowe i majątkowe. Pan Rochester dwa lata temu rozpoczął generalną archiwizację wszelkich ksiąg, bo uznał, że...

Gada i gada. Odeszłyśmy stamtąd, a ona nadal mówi o archiwach, o temperaturze i wilgotności powietrza, specjalnych oszklonych szafach na papiery i innych bzdetach. Po co mi ta wiedza? Co mnie to obchodzi? Nie rozumiem, dlaczego Alicja nie ogranicza swojej wypowiedzi do tego, co najważniejsze. Nie wolno tam włączyć? Okej, włączyć nie będę. Czy jest tam Archiwum X, czy tajne więzienia CIA, dla mnie to bez różnicy. Wołałabym spędzić ten czas na poznawaniu się z Adelką, ale jak widać, na to jestem zbyt zmęczona podróżą.

Kończy wykład o archiwizacji dopiero wówczas, gdy podchodzimy pod drzwi prywatnych apartamentów sir Edwarda. Jak łatwo przewidzieć, tutaj też nie wolno mi wejść bez zaproszenia. To osobista przestrzeń pana domu, Alicja nie ma zamiaru mi jej pokazywać. Czuję się jak podczas wycieczki po laboratoriach NASA, kiedy stoję razem z nią pod drzwiami i słucham ostrzeżeń. Upadła na głowę? Myśli, że każda młoda Amerykanka pierwsze, co robi w nowym miejscu, to włazi ludziom do ich prywatnych pomieszczeń? W nosie mam sypialnię i gabinet sir Edwarda. Dla mojej przyjemności mogę w ogóle nie widywać tego człowieka, zresztą nawet gdybym chciała, nieprędko go zobaczę, bo jest w podróży służbowej.

— Alicjo, możesz czuć się spokojna. Nigdy nie naruszę prywatności sir Edwarda, obiecuję — wygłaszam z powagą, ale w duszy chichram się jak głupia.

— To ważne. Chciałabym, żebyś od początku zyskała przychylność sir Edwarda.

— Postaram się ją uzyskać.

Zaraz oszaleję! Serio. Uzyskać przychylność? Co to ma być? Skąd ona się wzięła?

— Będziesz tutaj mieszkać, podobnie jak ja, Sophie i Gracja, mam nadzieję, że nigdy nie nadużyjesz zaufania sir Edwarda.

— Obiecuję, że tak będzie.

Help.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Pierwsza polska seria *fanfiction* oparta na klasyce romansu!

Jane Eye po stracie przyjaciółki pragnie rozpocząć nowe życie. Opuszcza Nowy Jork, by przenieść się do angielskiego majątku Thornfield Hall, miejsca, w którym czas się zatrzymał. Ma tam sprawować opiekę nad córką sir Edwarda Fairfaxa Rochestera, właściciela dworu. Dzięki swojemu oddaniu zyskuje sympatię małej Adelki, a bezkompromisowym podejściem do obowiązków budzi jednocześnie irytację i szczerzy podziw Rochestera. Mimo trudnych początków — wbrew woli Edwarda i rozsądkowi Jane — między bohaterami rodzi się coś więcej...

Ponadczasowa opowieść w nowej odsłonie — o tym, jak samotność łączy pozornie różnych od siebie ludzi, a szaleństwo zmieszane z pożądaniem prowadzi do tragedii. Czy ta historia ma szansę na szczęśliwe zakończenie?

Pierwsza część cyklu Z KLAS[JK]Ą W ŁÓŻKU to *fanfic* na motywach najbardziej znanej powieści Charlotte Brontë. Czy można tu mówić o profanacji? Oczywiście! Herezji? Bez wątpienia! Bezczelności? Jak najbardziej! Pozwól sobie na odrobinę szaleństwa i daj się porwać niepoprawnej *guilty pleasure*. Wraz z Jane Eye poznaj tajemnice skrywane za grubymi murami Thornfield Hall.
#profanacja #herezja #bezczelność

PATRONI MEDIALNI:



Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

- 🔗 <http://editio.pl/promocje>
 - 🔗 <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
🔗 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

eBook dostępny wyłącznie na:

ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-5856-0



9 788328 358560

Cena 39,90 zł